

MOST

imienia Ano-Ano

Anna Borkowska



MOST

imienia Ano-Ano



TYNIEC

WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

Projekt okładki:
Jackek Zelek

Korekta:
Anna Nowak

Imprimi potest: Opactwo Benedyktynów
L.dz. 166/2017, Tyniec, dnia 9.08.2017
† o. Szymon Hiżycki OSB, opat tyniecki

Wydanie pierwsze: Kraków 2017

ISBN 978-83-7354-718-6

© Copyright by Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów
ul. Benedyktyńska 37, 30-398 Kraków
tel. +48 (12) 688-52-90, tel./fax: +48 (12) 688-52-95
e-mail: wydawnictwo@tyniec.com.pl
zamowienia@tyniec.com.pl
www.tyniec.com.pl

Druk i oprawa:
Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów
druk@tyniec.com.pl

To, że widziałeś stopy i palce posągu częściowo z gliny, częściowo zaś z żelaza, oznacza, że królestwo ulegnie podziałowi: będzie miało coś z trwałości żelaza. To zaś, że widziałeś żelazo zmieszane z mulistą gliną, a palce u nóg częściowo z żelaza, częściowo zaś z gliny, oznacza, że królestwo będzie częściowo trwałe, częściowo zaś kruche. To, że widziałeś żelazo zmieszane z mulistą gliną, oznacza, że mieszają się oni przez ludzkie nasienie, ale nie będą się odznaczać spoistością, podobnie jak żelazo nie da się pomieszać z gliną.

Daniel 2,41–43

Spis treści

Od autorki	9
1. Czarny lud i misjonarze	11
2. Żółty lud i polityka	21
3. Ano-Ano chrześcijaninem	32
4. Republika	49
5. Tyle znaków zapytania	60
6. Sene i Bate	82
7. Żółty szofer.	102
8. Dolary i centy	120
9. Sposoby wcielenia	134
10. Gwardia Honorowa Starego Wołu	154
11. O-to Ja czyli wzorowe małżeństwo	168
12. Oczyma reportera	183
13. Tertulian	195
14. Stara Swatka zjada królika	210
15. Umuada	219
16. Przeciw dyskryminacji.	228
17. Ano-Ano zmienia płeć	236
18. Ano-Ano podwaja się	246
19. Opanować sytuację w Senedzie	255
20. Przetasować i rozdać od nowa.	268
21. Ahimsa	276
22. Niejeden most	281

Ođ autorki

I kraj, i ludzie w tej książce są fikcyjni. Kraj Midzi nie jest wyspą Fidzi, chociaż może mieć podobne problemy; a monarchia kolonialna, która go na jakiś czas podbiła, nie jest ani Anglią, ani Belgią, ani Holandią: umyślnie posiada cechy przemieszane. Przemieszano też cechy wielu ludów czarnych i wielu ludów żółtych. Niewątpliwie było w Irlandii wielu księży nazwiskiem Patryk O'Connor albo Robert Kelly, i może niejeden z nich był rudy, ale żadnego z nich nie wprowadzam do tej powieści. To samo dotyczy wszystkich bez wyjątku postaci z głównym bohaterem włącznie. Kult Cargo natomiast istnieje rzeczywiście, chociaż na razie jedynie w Oceanii; natomiast sekta AIDS nie powstała dotąd, ale tylko tego czekać. Wszystkie poza nią drogi myślowe i zwyczaje czy to grup, czy ludów, opisane w tej książce, są autentyczne, chociaż pochodzą z różnych części świata i z różnych czasów. Ich takie a nie inne zestawienie służy planowi książki. Rzecz dzieje się jeszcze przed załamaniem się w Republice Południowej Afryki systemu apartheidu.

1. Czarny lud i misjonarze

Za siedmioma górami, za siedmioma rzekami, za morzami wielkimi – ale na naszej Ziemi – leży kraj Midzi. Dokładnie biorąc, w Afryce.

Pierwotni jego mieszkańcy byli wszyscy czarni. Na kamienistej glebie drewnianymi narzędziami uprawiali co nieco roli, ale przede wszystkim polowali w dżungli. Polowanie było zajęciem świętym; im większe i silniejsze zwierzę postanowiono złowić, tym dłuższe i ważniejsze obrzędy poprzedzały jego zabicie i towarzyszyły uczcie plemiennej z jego mięsa. Duch bowiem zabitego zwierzęcia, umiejętnie przebłagany i zaklęty, udzielał swojej siły tym, którzy je zjedli; siła zaś – rozlewająca się błogą sytością po całym ciele – była warunkiem przetrwania i jedyną chlubą mężczyzny. Toteż jakkolwiek w uczcie brali oczywiście udział wszyscy, tylko król nosił tytuł „Tego-który-zjadł-nosorożca”. Czarownika zaś nazywano „Tym-który-zjadł-królika”, ponieważ królikom lud ów przypisywał szczególną mądrość.

Starym też obyczajem, jeśli udało się podczas wojny zabić dzielnego wojownika strony przeciw-

nej – lub jeśli zginął dzielny wojownik własny, nie mający męskiego potomstwa – urządzano i z jego ciała ucztę, dla samych tylko mężczyzn przeznaczoną; gdyż wprawdzie w czasie pokoju lud ten dawno już nie uprawiał ludożerstwa, mając i bez tego dość pożywienia, ale prastara tradycja nie pozwalała marnować cnót nieboszczyka, które inaczej byłyby dla plemienia stracone.

Ten natomiast, kto umierał śmiercią własną, kto ginął zabity przez zwierzę albo wyznaczony na ofiarę przez głos duchów, grzebany był w ziemi; układano go w pozycji płodu i dawano mu do grobu kilka dziecinnych zabawek. Wiadomo było bowiem, że duch jego wejdzie w najbliższe, jakie się urodzi, dziecko spośród jego potomstwa. Mógł to być wnuk albo pogrobowy syn; ale czasami oczywiście zdarzały się komplikacje. Ano-Ano, mąż szczególnie waleczny i bogaty, ale mimo to (jeśli nie właśnie dlatego) wśród współplemieńców szczególnie niepopularny, zginął pewnego roku podczas losów. Trzy spośród jego pięciu żon spodziewały się właśnie dzieci, i urodziły je wkrótce, niestety jednak były to same córki. A zaraz potem jego młodsza siostra Mele powiła dorodnego syna. Było więc jasne dla wszystkich, że Ano-Ano wcielił się właśnie w siostrzeńca, który też oczywiście otrzymał jego imię, czyli swoje własne z powrotem. Sama Mele nie zwracała się nigdy do syna inaczej

niż „Mój czcigodny starszy bracie”; mężczyźni zaś, którzy pojęli za żony wdowy po starym Ano-Ano, małemu wpłacić musieli należny za nie okup. To też z góry można się było spodziewać, że to najbogatsze we wsi dziecko, kiedy dorośnie, to albo na czas zabierze swoją rodzinę i odejdzie szukać sobie nowej siedziby gdzieś dalej w dżungli, albo pobudzi wszystkich dookoła do takiej zazdrości, że zginie. Dawny Ano-Ano zanadto ufał w swoją szczęśliwą gwiazdę: został i zginął. Jeżeli w zaświatach zrozumiał swój błąd, to w tym nowym wcieleniu zapewne na czas odejdzie. Jedno w każdym razie jest jasne, a mianowicie, że przy narodzeniu każdego dziecka potrzebny był czarownik: on to musiał ustalić, który z duchów przodków (albo w braku nie wcielonych przodków, który z dalszych krewnych) powrócił tym razem na ziemię. Inaczej nikt by nie wiedział, z kim ma do czynienia, i byłoby straszne zamieszanie.

Młody Ano-Ano opuścił właśnie Zagrodę Inicjacji jako pełnoprawny mężczyzna, kiedy pewnego pięknego wieczoru, całkiem niespodziewanie, na teren wsi wkroczyło dziesięciu obcych ludzi. Przyszli przez dżunglę, chociaż obcy, ot tak sobie, jakby ją dobrze znali. Dziewięciu niosło na głowach tobołki, dziesiąty zaś niósł na plecach, przewieszony na rzemieniu, dziwaczny kij na wpeł drewniany, a na wpeł żelazny. Drugim kijem pod-

pierał się idąc, i jeszcze miał na skos przez ramię przewieszoną miękką torbę. Co najważniejsze, skórę miał różową jak noworodek; a kiedy zdjął duże i twarde nakrycie głowy, ukazały się włosy długie i proste, płomienistej barwy. Wywołał oczywiście wielkie zdumienie. Doniesiono o nim do wioski królewskiej, tylko że król był akurat gdzieś daleko na krańcu swoich posiadłości, i przez to się zwlekło. Tymczasem zaś przybysz w dość zrozumiałej mowie oznajmił mieszkańcom wsi, że przyszedł ich pouczyć o najsilniejszym z duchów, który rządzi całą ziemią.

Podobał im się bardzo. Gruby kij łamał w garściach jak patyczek, włócznią ciskał jak najlepszy wojownik, a ze swojego ognistego kija strzelał równie celnie (tylko nieco dalej), jak z pożyczonego od nich łuku. Był to Irlandczyk, ksiądz Patryk O'Connor, wielki misjonarz i zapalony podróżnik, którego nosił po świecie nadmiar przyrodzonej i nadprzyrodzonej energii; nosił tak długo i tak daleko, że go w końcu o mało nie zaniósł na ołtarze. Mieszkańcy wioski, zachwyceni jego krzepą, gotowi byli co wieczór słuchać go choćby do północy. Co z jego nauk rozumieli, to inna sprawa. Rosło w nich jednak przekonanie, że bardzo by chcieli mu dorównać; gdy zaś i on niczego więcej nie pragnął, niż przyłączyć ich do Wielkiej Rodziny, która go przysłała, obie strony rychło uzna-

ły, że na to przyłączenie już czas. Ksiądz zapisał w swoim dzienniku:

Wielki entuzjazm. Podczas zbliżającej się dorocznej uroczystości odbędą się tym razem nie pogańskie gusta, ale obrzędy chrztu.

Tymczasem król powrócił do swojej wioski, ale nie przejął się wiadomością o białym człowieku. „Też nowość, w każdej wiosce jest takich po kilku!” Wysłannicy wsi goszczącej księdza Patryka zamilkli: wiedzieli dobrze, że ich gość nie jest albinosem, takim, jakich rzeczywiście w ich plemienu było sporo, tylko czymś zupełnie, ale to zupełnie nowym – doszli jednak do wniosku, że lepiej zatrzymać ten skarb dla siebie. Skoro staną się wszyscy tak silni, jak ich gość, to kto wie? Może ich własny wódz zostanie następnym królem, a w każdym razie w całym państwie to oni będą najważniejsi. Głupi byliby, gdyby się tymi korzyściami chcieli z kimkolwiek dzielić.

Co do owej uroczystości, był to zawsze najdonioślejszy moment roku, ponieważ to wtedy wskazywały duchy, kto spośród mieszkańców wioski zarobił sobie na ich niełaskę i był winien wszystkim ostatnim nieszczęściom. Nieszczęść zaś nigdy nie brakowało, więc było bardzo ważne pozbyć się tego, kto je sprowadza, żeby się nie przedłużały ponad konieczną miarę, i żeby nie działało takich

winowajców na raz dwóch: tegoroczny i przyszłoroczny. Tak się to odbywało: wszyscy dorośli zasiadali ogromnym kręgiem, a Ten-Który-Zjadł-Królika obchodził ów krąg dookoła w rytualnym stroju, tańcząc i nasłuchując głosu duchów. Siedzący towarzyszyli temu tańcowi jęklwym zaśpiewem, i jakoś tak się składało, że cichł ów zaśpiew lub nasilał się, w miarę jak czarownik podchodził do mniej lub bardziej popularnych we wsi osób. Gdzie był najsilniejszy, tam bezbłędnie okazywał się głosem duchów. Wierzyli w ten głos święcie wszyscy: i czarownik, i zebrani, włącznie nawet z samą ofiarą. Ta ostatnia po drugim czy trzecim okrążeniu domyślała się już zwykle, czym się to skończy, i drżała ze strachu; ale nikt by się nie ośmielił dodatkowo jeszcze obrazać duchy przez próbę ucieczki.

Otóż ksiądz Patryk rozumiał z tego, co mu mieszkańcy wsi mówili o sobie, tyleż mniej więcej, co oni z jego pouczeń. Dla niego zło było złem, a dobro dobrem, jak to dla Europejczyka; mogło coś być częściowo dobre, a częściowo złe, oczywiście, ale nie mogła jedna i ta sama rzecz być na raz, pod tym samym względem i z tej samej racji, bardzo dobra i bardzo zła. Dla mieszkańców wsi natomiast coś, co przekroczyło zwykłą miarę, wchodziło tym samym w sferę nadnormalną, gdzie rozróżnienie między dobrem a złem przestawało istnieć. Kiedy

na jakiś czas przed uroczystością Ten-Który-Zjadł-Królika zaczął głosić, że Biały Ojciec jest wielki, a wszyscy kiwali głowami i mówili „Jakaż to prawda!” – sam „Biały Ojciec” uznał to tylko za dowód nadspodziewanej życzliwości ze strony czarownika. Wkrótce potem wódz złożył misjonarzowi uroczystą wizytę, podczas której ofiarował mu trzy swoje córki za żony. Ksiądz wyjaśnił, jak umiał najlepiej, że ani żony, ani konkubiny wziąć sobie nie może. Tego wieczoru czarownik zawyrokował: „On się nie chce więcej wcielać!” – i od tej chwili los księdza był już rozstrzygnięty. Nie trzeba było nikogo namawiać, przekonywać, wydawać rozkazów: jedno poczucie konieczności rosło we wszystkich na równi. Skoro Biały Ojciec nie zostawi im potomstwa, w którym by się mógł odradzać, był już tylko jeden sposób zatrzymania go w wiosce. On sam, słysząc, jak ludzie pozdrawiają się wzajemnie okrzykiem „Biały Ojciec jest wielki!”, a odpowiadają na to: „I nie ma żony”, zdenerwował się tylko, że za dużo myślą o nim, a za mało o Bogu. Zrobił więc wszystko, żeby im wytłumaczyć, że jego własna osoba nie ma żadnego znaczenia: nie będzie on, to będzie kto inny, a oni zawsze i tak będą członkami Wielkiej Rodziny. Tym samym rozwiązał ostatecznie ich wahania.

Do kręgu przyszedł z ciekawości; myślał, że będą tam tylko tańce, bo przecież gorliwi katechu-

meni na parę godzin przed chrztem nie odprawiają pogańskich obrzędów. Podczas tańca nie zauważył nawet, o ile głośniejszy staje się śpiew, ilekroć czarownik zbliża się do niego. Pięć razy (święta liczba, bo pięć jest palców u ręki) powtórzyło się to samo, a ksiądz Patryk nadal siedział spokojnie. Ludzie byli zachwyceni: nikt jeszcze tak mężnie nie oczekiwał śmierci. Do dziś nie wiadomo, czy w ogóle do ostatniej chwili zdołał się zorientować, co się święci; w każdym razie tam właśnie, w tym kręgu, zginął. Ponieważ zaś nie chciał przekazać swojej imponującej siły żadnemu z dzieci plemienia, został zaszczytnie zjedzony, tak jak zaszczytnie zjadani byli najdzielniejsi a bezdzietni. Ano-Ano brał w tej uczcie udział, ale tego też dnia uświadomił sobie żywo, co go czeka za rok, jeśli będzie ku sił swoim bogactwem zazdrość współplemieńców i duchów. Tyle razy mu przecież opowiadano, jak zginął w poprzednim wcieleniu, że już i sam był przekonany, że to pamięta dokładnie. Kupił więc sobie szybko żonę, zabrał i ją, i cały swój dobytek, a także kilku przyjaciół spośród tych, którzy razem z nim przeszli męską inicjację – i odszedł.

Historia lubi się po trosze powtarzać. W jakiś rok lub dwa później do innej wioski, odległej o kilkadziesiąt mil od tamtej, trafił inny duchowny. Ten dla odmiany nie był irlandzkim księdzem katolickim, tylko holenderskim kalwińskim pasto-

rem, i nie szukał czarnych do nawracania, tylko swoich białych ziomków. Zabłądził jednak spoza gór, straciwszy przewodników, a z mieszkańcami owej wsi mógł porozumiewać się tylko na migi. Im jednak wszelkie różnice: brak zrozumiałe mówiących tragarzy, włosy żółte zamiast ognistych i tak dalej – zupełnie nie zmąciły radości, że oto zjawił się także i u nich silny, biały mężczyzna. Zjedzono go więc natychmiast, aby dorównać owej pierwszej, sławnej już w kraju wiosce. I przez wiele, wiele lat żaden więcej misjonarz nie pokazał się w kraju Midzi.

Tymczasem Ano-Ano znalazł sobie nową siedzibę, został wodzem sporej wsi i głową licznej rodziny. Dożył wieku tak podeszłego, że miał uzasadnioną nadzieję, iż kiedy wreszcie umrze, będzie mógł przejść w ciało nie syna ani wnuka, ale aż prawnuka; i ta, która go zrodzi, już w kołysce nazwie go „czcigodnym dziadkiem swego męża”. Jednego prawnuka doczekał się zresztą za życia, i właśnie świętowano te narodziny, kiedy mieszkańcy sąsiedniej wsi dali znać, że w okolicy pojawili się znowu biali ludzie. Ano-Ano ucieszył się: to był dobry znak i zapowiedź powodzenia dla nowonarodzonego. Nigdy nie popełnił większej pomyłki! Ci biali pojawili się dużą gromadą, byli wszyscy jednakowo ubrani, i nie przybyli nauczać, ale rządzić. Bardzo szybko zakotłowało się w kraju. Bia-

li twierdzili, że pozwolą czarnym żyć spokojnie, byleby ci słuchali swoich nowych panów i poddali się ich prawu; ale ponieważ tego prawa nikt nie rozumiał, a ciążyło coraz bardziej i atakowało z coraz bardziej niespodziewanych stron, rok po roku wybuchały bunty i rok po roku lała się krew. Zginął też wkrótce i Ano-Ano; rozpoznano go zaraz potem w jego drugim z kolei prawnuku, którego zresztą rozpoznający czarownik jeszcze tego samego dnia zdołał wynieść z kolejnej rzezi. Aż wreszcie czarny lud pochylił głowę i uznał się za pokonanego. Nastąpiły czasy kolonialne.